

Wspomnienia z Syberii

Janiny Radyk



Kontekst historyczny

Po wybuchu II wojny światowej w okresie okupacji sowieckiej w latach 1939-1941 miały miejsce cztery wielkie akcje deportacyjne z ziem polskich na Sybir. W pierwszej kolejności wywieziono tzw. osadników (tj. wszystkie osoby, które nabyły ziemię w parcelacji na obszarze ziem wschodnich II RP) oraz tzw. leśników, czyli osoby zatrudnione przy ochronie lasów prywatnych i państwowych. Na mocy podjętej przez Stalina i najwyższe kierownictwo sowieckie decyzji, w nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku, w 140 transportach na wschód i północ Związku Sowieckiego deportowano około 140 tysięcy mieszkańców wsi i kolonii na Kresach.

Historycy na podstawie sowieckich archiwów wyliczyli, że w sumie w czasie II wojny światowej deportowano z ziem polskich w głąb Związku Sowieckiego około 320 tysięcy osób. Należy zaznaczyć, że według Związku Sybiraków szacunki te są znacznie zaniżone, zaś faktyczna liczba osób deportowanych w następstwie okupacji sowieckiej mogła wynosić ponad milion Polaków, a według emigracyjnych historyków, na Sybir mogło być wywiezionych nawet 1 875 000 ludzi.

Po zakończeniu II wojny światowej dramat osób więzionych i deportowanych na obszarach Związku Radzieckiego przez wiele lat pozostawał w cieniu zbrodni popełnionych przez Niemcy. Ich trauma pozostawać mogła jedynie doświadczeniem prywatnym, świadectwem, którego głosić nie było wolno. O dramatycznych przeżyciach mówiono tylko najbliższym, zaufanym, często tak samo dotkniętym przez los jak oni.

Jeszcze w latach 50. byli oni jedną z grup szczególnego ryzyka, "rozpracowywanych" przez organa kontrwywiadu wojskowego (Informacji Wojskowej). O losach zesłańców otwarcie można było pisać jedynie na emigracji, ale tam ich przeżycia nie budziły szerszego zainteresowania poza polskim, wąskim liczebnie, środowiskiem. Dopiero w latach 80. ich doświadczenia zaczęły budzić szersze zainteresowanie w kraju.

Jan Paweł II tak opisywał tamte lata w 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej: *Rozmiar strat poniesionych, a bardziej jeszcze rozmiar cierpień zadanych osobom, rodzinom, środowiskom, jest zaprawdę trudny do wyliczenia. Wiele faktów jest znanych, wiele pozostaje jeszcze do wyjaśnienia. Wojna toczyła się nie tylko na frontach, lecz jako wojna totalna uderzała ona w całe*

społeczeństwa. Deportowano całe środowiska. Tysiące osób stawały się ofiarą więzień, tortur i egzekucji. Ginęli ludzie pozostający poza zasięgiem działań wojennych jako ofiary bombardowań oraz systematycznego terroru, którego zorganizowanym środkiem były koncentracyjne obozy pracy, które zamieniały się w obozy śmierci. Gdy to wszystko staje nam przed oczyma, nabierają pełnego pokrycia słowa Pawła VI na forum Narodów Zjednoczonych. Historyczna rzeczywistość II wojny światowej jest straszliwsza niż słowa, którymi można o niej mówić.

Ci, którzy ją przeżyli, stali się dla nas wiarygodnymi świadkami tamtych tragicznych wydarzeń, które nie tylko głęboko zapadły w ich serca i umysły, ale wykształtowały w nich sposób myślenia i widzenia rzeczywistości. Sybiracy to ludzie wypróbowani w swym człowieczeństwie i w wierze, wrażliwość na ludzką krzywdę, szlachetni, prawi, uczciwi, niezłomni, odznaczający się siłą charakteru i umiłowaniem ojczyzny, ceniący własną godność i wartość życia.

Wspomnienia Sybirskie Janiny Radyk są tego konkretnym wyrazem. Pozostawiła po sobie wiele wspomnień w formie słownej, pisemnej i filmowej. Na ich podstawie powstała ta broszurka. Niech przyczyni się ona do zachowania w pamięci wszystkiego, co tam się wydarzyło.



Piotr Stachniewicz - Pochód na Sybir (1888)

Wspomnienia Janiny Radyk

Miałam wtedy 11 lat, gdy rozpoczęła się wojna. Pamiętam, jak leciały nad nami samoloty w sześciu rzędach, w kierunku Lwowa, a my schowaliśmy się w rowie. Nasz sąsiad powiedział, żebyśmy uciekali pod mostek a nie do rowu. Samoloty przeleciały tylko nad naszą kolonią, aż szyby w oknach drżały, ale poleciały dalej w kierunku Medyki, tam dopiero rozpoczęło się bombardowanie. Ludzie stamtąd puciekali i niektórzy z nich trafili do nas. Myśmy ich ukryli w piwnicy, a sami spaliśmy w drugim domu na podłodze. Rano wstaliśmy i jak zwykle mama robiła śniadanie, ale ja nie mogłam nic jeść, bo byłam zestresowana i martwiłam się, co z nami będzie. Po trzech tygodniach ludzie mówili, że wojna się skończyła, bo Stalin z Hitlerem podzielili się Polską, a myśmy zostali z jednej strony Sanu tam, gdzie byli Rosjanie, a za Sanem byli Niemcy. Nie wolno było przechodzić przez granicę. Po rozpoczęciu wojny chodziłam cały czas do szkoły, aż do 10 lutego, kiedy to zostaliśmy wywiezieni na Sybir. Nie powiedzieli nam, gdzie jedziemy, ale żebyśmy zabrali z sobą piłę i siekierę. Tatę postawili pod ścianą, zrobili rewizję, czy nie ma broni, a mamie kazali się pakować. Mama pozabierała różne rzeczy, które tylko zmieściły się na sanie. Chorą babcię, która nie mogła chodzić, też zanieśli na sanie i pojechaliśmy do Medyki.

W Medyce powsadzali nas do bydłowych wagonów i zaryglowali drzwi. Nie wolno było z nich wychodzić. Tylko po trzy osoby wypuszczali po jedzenie. Była to zupa z krupami. Początkowo mieliśmy trochę swoich zapasów jedzenia i mogliśmy się dożywiać. Mieliśmy trochę słoniny, którą mogliśmy podgrzać na tzw. kozie - czyli małym piecyku do ogrzewania. W wagonach było zimno. Szpary zatykaliśmy kożuchami i tym co zdołaliśmy ze sobą zabrać. Słabsze osoby umierały, zwłaszcza dzieci i starcy. Gdy ktoś umarł, to wyrzucano go po drodze do śniegu i tak zostawiano.

Po trzech tygodniach jazdy pociągiem przyjechaliśmy do Krasonojarska i dali nam tam do picia czaj, czyli herbatę, ale była to tylko ciepła woda, której nie dało się pić. Umyliśmy nią tylko trochę twarze. Na saniach jechaliśmy 80 km do Tajgi, gdzie był gęsty las i tylko kawałek nieba było widać. Rozmieścili nas tam po barakach i przydzielili jedną pryczę na rodzinę. Myśmy na naszej pryczy położyli chorą babcię, a my wszyscy poukładaliśmy się na podłodze, przykrywając się czym kto mógł. W nocy nie dało się jednak spać, bo pluskwy powychodziły i nas gryzły. Krew tak leciała, że aż prześcieradło było czerwone. Na szczęście na stoliku była lampa naftowa, która się świeciła całą noc i trochę te pluskwy odstraszała.

Na drugi i trzeci dzień wszyscy poszli do roboty do lasu. I tak było dzień w dzień przez dwa lata.

A w tym lesie były ponumerowane place, na które ludzie chodzili pracować. Mężczyźni wyrębywali potężne drzewa, a kobiety obcinały gałęzie. W Tajdze były chmury małych muszek syberyjskich, które kąsały ludzi, gdzie tylko było gołe ciało. Ludzie zakładali na głowy siatki, przez które ciężko było oddychać, smarowali ciało jakimś smarami, które też na wiele się nie zdały. Gdy zapadała noc, to było tak ciemno, że ludzie nie wiedzieli, gdzie mają iść. Chorowali na kurzą ślepotę. Można było się na to leczyć jedząc wątroby, ale skąd mieli ją tam wziąć. Głodno, chłodno i do domu daleko - tak żeśmy mówili.



Sybiracy przy wyrębie lasu

Całą tę sytuację dobrze opisuje wiersz młodego, uzdolnionego chłopaka, który z nami dzielił swój los na Sybirze. Zatytułował go: „**Piosenka sybirska**”

*Daj Boże zmiłowanie, by Polska powstała
Żeby nasza ziemia, z nami się rozśmiała.
Te nasze złe wrogi, tak nam doradzali
Aż w końcu nas wszystkich, na Sybir wysłali.
A w sobotę rano, gdyśmy jeszcze spali
Przyszli ci wrogowie, nas pozabierali.*

A ten biedny naród narzeka i płacze
Że jedzie na Sybir, świata nie zobaczy.
Gdy wieźli na stację, to śniegi sypały
Nasze siostry, bracia, za nami płakali.
Przywieźli na stację, w wagon nas wsadzili
Chleba nam nie dali, na dwór nie puścili.
W niedzielę wieczorem, pociągi ruszały
I z rodzinną ziemią, już się pożegnały.
Wieźli coraz dalej, w te obce krainy
W te nieszczęsne Tajgi, ten naród niewinny.
Przywieźli na Sybir, w takie zimne lasy
O Boże mój Boże, przykre nasze czasy.
A ci komendanci, tak nam doradzają
I żadnej litości nad nami nie mają.
A ten biedny naród, z rana do wieczora
Pracuje w tym lesie, o głodzie i morach.
O Boże nasz Boże, biedna nasza dola
Gdzie okiem spojrzymy, tam wszędzie niewola.
Wyjdę ja na górę, i spojrzę po świecie
Gdzie ty nasza siostró, gdzie kochany bracie.
Posłuchaj narodzie, wy biedni Polacy
Taka nas niewola, czekała tej nocy.
Ta Tajga Sybiru, zakwitła kwiatami
My biedni Polacy, tak jak za kratami.
Siedzimy w tych Tajgach, czekamy pomocy
A tu robić trzeba, od nocy do nocy.
Osiem godzin pracy, chodu trzy godziny
Jeszcze się nie wyśpi, już sygnał brzmi silny.
O szóstej godzinie brzmi sygnał z łoskotem
Wstawaj Polski bracie, bo czas do roboty.
O wy moi bracia, kochani rodacy
Trzeba nam tu zdrowia, nie ma końca pracy.
A na koniec mówię, jeszcze jedno słówko
Daj Boże się witać, z rodziną bez smutku.

Sybiracy w Krasnojarskiej Tajdze

W tym miejscu przebywaliśmy 2 lata. To był Krasnojarski Kraj, rejon Manskij Bolszoj Ungut, Brygada nr 2 - taki był adres. Tęskniliśmy za ojczyzną, a starsi mówili nam, że już niedługo tam wrócimy. Ale w 1942 roku mój ojciec poszedł na front, a myślny z mamą zostali. Trzeba było pójść do roboty, bo dostawaliśmy za to chleb. Każdy kto pracował dostawał kawałek. Był mróz a myślny nie miały budów. Ja ubierałam buty po tacie - tzw. walonki - a mój młodszy brat zostawała w domu i musieliśmy dzielić z nim nasz chleb. Miałam wtedy 14 lat i sama się dziwię, że wtedy dawałam rady. Poodmrażałam sobie policzki, nogi i ręce, ale pracowałam. Została mi tylko pamiątka w postaci odcisku na ręce po pile. Czas wojny i pobyt na Sybirze zabrał mi wszystko, co dziecko powinno mieć. Straciłam polską szkołę, polski język, dom rodzinny, radość, zabawę. Największą jednak stratą był brak swobody - wolności. To była niewola i katorga. Na Sybirze co prawda nie było wojny, tylko ojciec na nią poszedł, a my żyliśmy bez strachu, że nas zabiją, ale to, co tam przeżyliśmy było gorsze od wojny. Trzeba było tylko uważać, żeby nie podpaść sowietom, bo wtedy wysyłali nas za karę dalej w głąb Rosji.

Nas dzieci uczono w szkole od 1 do 7 klasy. Uczyli nas języka rosyjskiego i w tym języku były prowadzone wszystkie lekcje. Ale co to były za lekcje? Uczyli nas, że Boga nie ma, a my starsze dzieci mówiliśmy, że Bóg jest, był i będzie. Nauczyciel kazał nam pościagać święte obrazy i podeptać nogami. A my mówiliśmy, że te obrazy Lenina i Stalina wiszące w szkole też możemy ściągnąć i podeptać. A on nam zagroził, że jak byśmy to zrobili, to by nas wywieźli jeszcze dalej w głąb Rosji, gdzie są jeszcze większe mrozy i cięższa praca, tak że trudno byłoby nam przeżyć. Ja ukończyłam tam 4 klasy. W Polsce zachowały się jeszcze moje świadectwa napisane w tym języku. Oprócz nauki dzieci musieliśmy też pracować. W zimie wysyłali nas do lasu ciąć małe brzożki. Chodziliśmy z trochę starszą ode mnie koleżanką do lasu przy 40-sto stopniowym mrozie. Gdy temperatura przekraczała 50 stopni, to dawali nam spokój. Była to dla nas bardzo ciężka praca. Ścinałliśmy całe pnie, które potem spuszczałyśmy na ziemię, a potem musiałyśmy ciąć te pnie na dwumetrowe belki, tzw. kubiki, i składać je w jednym miejscu. Na szczęście nie wyznaczano nam normy, ile tych belek mamy naciąć.

Po dwóch latach mieliśmy już trochę więcej swobody. Można już nam było wychodzić poza obręb obozu bez pozwolenia. Potem stamtąd wysłali nas do pobliskiego sowchozu, oddalonego 80 km. To było coś podobnego, jak u nas PGR. Dali nam wózki, żebyśmy na nich mogli przewieźć nasz dobytek. Tam była głównie

praca rolnicza na polach, chociaż lasy też były i dalej trzeba było pracować przy ich wyrębie. Ziemia tam była żyzna, i wszystko pięknie się rodziło bez nawozów - zboże, ziemniaki, warzywa.

Pomimo ciężkich warunków, Rosjanie byli nam życzliwi, jeździli z nami do roboty, po drodze śpiewali, po pracy tańczyli, bawili się a my z nimi. To byli przesiedleńcy z Ukrainy, z czasów wielkiego głodu. Pomagali nam i pocieszali nas. Mówili: wy nie płaczcie, bo wam przynajmniej baraki postawiali, a myśmy sami musieli rąbać drzewa i budować je sobie w lesie.

Gdy przyszły żniwa pracowaliśmy razem na kombajnach, których w Polsce jeszcze nie znano. Ja sama na takim kombajnie pracowałam, choć miałam dopiero 13 lat. Wymłócone zboże nie zwożono od razu do magazynów, lecz sypano na ściernie i robiono z niego kopy. W nocy stróż je pilnował, ale ludzie podkradali się i kto ile mógł, nabierali do kieszeni. Żeby móc jak najwięcej zabrać, szyli sobie długie kieszenie w spodniach i tak obciążeni wracali do swych baraków. Potem zanosili w nocy do lasu, gdzie był młyn i z mąki piekli sobie potem chleby. Ludzie byli zorganizowani i solidarni, nikt na nikogo nie doniósł, zboża było bardzo dużo, tak że nie było widać jego ubytków. Ludzie już zaczęli się tam dorabiać, zagospodarowywać, bo nie wiedzieli, czy wrócą do ojczyzny. Kwitł między nimi handel wymienny. Moja mama kupiła raz od jednej Rosjanki młodego cielaka za ziemniaki, które miała na sadzonki. To cielątko żeśmy wyhodowali na cielną jałówkę. Kiedy dowiedzieliśmy się, że będziemy wracać, sprzedaliśmy tę jałówkę, aby mieć pieniądze na podróż.

Po zakończeniu wojny w kwietniu 1945 roku, przyszła wiadomość, że będziemy mogli wrócić do Polski. Mieliśmy takiego męża zaufania, który pomógł nam to wszystko załatwić, aby wrócić do Polski. Ojciec był wtedy na wojnie. Przeszedł spod Lenino do Berlina. Po wojnie ojciec cały rok czekał na nas w Świlczy pod Rzeszowem, bo była to jego wieś rodzinna, gdzie żyła jeszcze jego kuzynkę. Do Polski jechaliśmy w takich samych wagonach, tylko trochę dłużej i już nas nie zamykano. Można było wyjść na zewnątrz. W podróży zastały nas święta wielkanocne, więc na jednym z przystanków świętowaliśmy. Podgrzewaliśmy jedzenie na prowizorycznym piecu, zrobionym z cegieł.

Dalej pociąg wiozł nas w kierunku Wrocławia, bo za polską granicą prawie wszystko było zburzone. Ojciec dał nam znać, abyśmy wysiedli bliżej Rzeszowa i na własny koszt dojechali do Świlczy. Ale tam już nic nie było. Wszystkie domy porozbierane, sady powycinane. Stamtąd trzeba było szukać jakiegoś miejsca do zamieszkania. Wróciliśmy do miejscowości, gdzie mieszkaliśmy przed deportacją

na Sybir - do Krzyżowic (obecnie należą do Ukrainy), a stamtąd zaszliśmy do miejscowości Torki koło Medyki (po drugiej strony granicy) i w jednym, z opuszczonych po Ukraińcach domu, postanowiliśmy zamieszkać.

Sybir to nieludzka ziemia i bolesna szkoła życia. Wielu sybiraków tam umarło, z przepracowania i nieludzkich warunków życia, i tam zostało pochowanych pod brzoźami w lesie, bo nie było cmentarzy. Dlatego brzozy przypominają nam o nich i skłaniają nas do modlitwy za nich. Wielu odniosło poważne ubytki na zdrowiu, a u wielu pozostała trauma na całe życie. Ci, którzy przetrwali i wrócili, stali się ludźmi zahartowanymi w boju, dzielnymi, niezłomnymi. To ludzie mądrzy, głęboko wierzący, prawdziwi patrioci. Nauczyli się tego wszystkiego, przez to co wycierpieli - jak sam Pan Jezus, który nauczył się posłuszeństwa, przez to co wycierpiał (por. Hbr 5, 8-9).

Janina Radyk urodziła się w 1929 roku a zmarła w marcu 2025 roku. Przeżyła więc prawie 96 lat. Na Sybir została wywieziona 10 lutego 1942 roku a powróciła w kwietniu 1946 roku. Te 4 lata na wygnaniu wywarły ogromny wpływ na całe jej życie. Do końca życia nosiła zaszczytny tytuł „sybiraczki”, i taką zapamiętamy ją na zawsze.



Ileż chorób, poważnych dolegliwości i operacji musiała pani Janina przejść i znieść - najlepiej o tym mogą powiedzieć jej najbliżsi. Ile nieprzespanych nocy i

czuwać przy swej mamie musiały poświęcić jej córki. A ona była wciąż żywa - zdrowa na duszy i umyśle, zainteresowana sprawami rodziny, ojczyzny i Kościoła. Z wielkim szacunkiem i radością przyjmowała zawsze Komunię Świętą w pierwsze piątki miesiąca? Ileż wtedy miała do powiedzenia i podzielenia się swymi przeżyciami i przemyśleniami? Do końca zachowała w pamięci i w sercu to wszystko, co udało jej się w życiu osiągnąć i za to wszystko Panu Bogu dziękować - za każdy przeżyty dzień, za każdą pomoc, każdą rozmowę.

Była osobą skromną, pokorną ale i zdecydowaną. Do końca walczyła z nieuleczalną chorobą, zadziwiając przy tym lekarzy i swych najbliższych. Była dobrze przygotowana na śmierć i nie bała się jej. Nie bała się o niej mówić i na nią czekać. Aż w końcu się doczekała dnia 15 marca 2025, około godziny 12.00 odeszła do Domu Ojca. Pogrzeb odbył się 20 marca w Tworkach.

Pozostawiła po sobie wiele wspomnień, spisanych własnoręcznie w jej osobistych notatkach oraz nagranych ostatnio w telewizyjnym wywiadzie. Wszystkie te materiały i wspomnienia przechowują z pietyzmem jej najbliżsi. Potwierdzają one jedno wyrażone słowami św. Pawła: „Moc w słabości się doskonali! Ileż często niedomagam tyleż często jestem mocny (2Kor 12, 9).





Z rodzinnego albumu



Janina ze swym mężem

Na specjalną uwagę zasługuje patriotyzm pani Janiny, który wyraziła we własnoręcznie spisanych tekstach pieśni narodowych - począwszy od hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła”, poprzez pieśni patriotyczne, a skończywszy na popularnych polskich piosenkach ludowych, do tej pory chętnie śpiewanych. Została odznaczona Krzyżem Zesłańców Sybiru oraz Odznaką Honorową Sybiraka.